



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowinyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowinyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

POGAWĘDKA.

Pamięć najstarszych ludzi nie sięga tak daleko, aby mogła im przywołać na myśl jesień równie piękną jak tegoroczna. We wrześniu i październiku mieliśmy więcej niż 20 stopni ciepła, a dnia 21 października, w miesiąc po zaczęciu się jesieni na niebie, termometr wskazywał jeszcze 18 stopni po nad zero. Drzewa, wynędzniałe od skwarów lata, zatrzymały nadspodziewanie długo swoją zieloność, zakwitły powtórnie w tym roku, i ciekawi warszawianie oglądać mogli w głównej alei Saskiego ogrodu kasztan okryty z jednej strony dość gęstym, choć już nie wiosennym nie tak bogatym i bujnym kwieciem jak na wiosnę. Kwiat ten przypominał niejednemu uczucie wykwitłe w duszy, którą już młodość opuściła. Tak to wszystko ma swoją porę: i serce i roślina. Kwiaty jesienne są bez woni, bez wdzięku, bez uroku....

Teraz już po niebie przewalają się ciężkie, zuchwale słońcu urągające chmury. Gdy podniesiesz oczy w górę, wita cię ironiczna twarz zimy. A zima ta, jeśli mamy wierzyć astronomom paryżkim, będzie długą, silną i śnieżną. Za wszystkie uciechy lata weźmie sowity odwet z ludzi, gdy ich zasadzi do więzień zwanych pracowniami, pokojami bawialnemi czy salonami. Nie dla wszystkich jednak zima jest tak groźną. Są natury przekładające ją nad wiosnę i lato. Można by nawet ludzi podzielić na tych, co lubią zimę, i na tych, co przepadają za latem. Myśliwych z pod podziału tego wyłączam: jest to rodzaj osobny, który się nie da w żadnej rubryce pomieścić. Otóż zwolennicy lata—o ile zauważyłem w życiu—są szczerzy, swobodniejsi w myślach i uczuciach swoich, poprzestają na małym, gdy się znajdują w towarzystwie, towarzystwa nie szukają z gorączkowem upragnieniem, nie

hołdują konwenansom, nie starają się być innymi za domem jak są w domu—w ogóle nazwałbym ich naturalniejszymi—dlatego może i z naturą przestać lubią. Zwolennicy zimy mają mniej więcej usposobienie przeciwne tamtemu. Dla natur tych z nastaniem zimy po za salonem, w salonie samym rozpoczyna się dopiero wiosna. Istoty te żyć zaczynają dopiero z zapaleniem światła sztucznego, sztucznych myśli i uczuć—jakich towarzystwa karnawałowe wymagają. Znam wiele młodych kobiet które nudzą się przez całe lato, obumierają jak owady—a budzą się dopiero z nastaniem pory zabaw wieczornych. Życiem dla nich jest przetańczenie walców i galopad.... Przegalopują więc przez ziemię—i pójda.... Zostawiają łzę po sobie lub westchnienie?

Podział ludzkości na dwa obozy letni i zimowy, da się zaprowadzić tylko pomiędzy istotami temperamentu nerwowego i żółciowego, który zacy Rej nazywa *kolera*. Sangwinicy i limfatycy nie mają żadnych sympatyj i antypatyj: pierwszym wszędzie i zawsze dobrze, drugim wszędzie i zawsze źle. Nie zaliczam też do żadnej z powyższych kategorii ludzi istotnie młodych, tych co jeszcze żyją na łonie natury, co nie zaczęli jeszcze przychodzić do świadomości bytu—aby nie dojść do niej nigdy—tych, co mogą mieć i mają wszędzie wiosnę, bo ją noszą we własnej duszy. Ale grono tej młodzieży wiosnianej jakże szczupłe, jakże z dniem każdym maleje; jak wcześniej starość opada dziś na dusze, prawdziwie już wtedy, zanim się jeszcze życie właściwe zaczęło! Nie należą dziś wcale do rzędu zjawisk nadzwyczajnych dwudziestoletni starcy, którzy zadają *szuk* w salonie, kokietują serca mężatek—wygłaszają o życiu zdania tchnące lodem zupełnej obojętności na wszystko co piękne i dobre, lekceważą honor i cześć rzetelną, nie szanują siwego włosa—bah, nawet rodziców własnych. Nie przesadzę bynajmniej—jeśli powiem, że częściej dziś spotkać się można z tą starą młodością nie mającą żadnych nadziei, żadnych marzeń w życiu, tylko in-

stynkta i żądze, niż z tą, co jest Bogu i ludziom miłą młodością świeżych niestrawionych jeszcze życiem potęg fizycznych i duchowych. Jest coś z anioła w każdej duszy młodej—i przeczuwanie tego anielstwa stanowi cały urok jakim otaczamy młodość. Takiego uroku nie posiada już większość dzisiejszej młodzieży. Narzyski pisząc swoich „Pozytywnych“ w których zostawił po sobie najpiękniejszy testament, podejmował temat niezmiernie żywy, palący w społeczeństwie dzisiejszem. Czy myślicie że takich Alfredów Choryńskich niema w życiu, że na takich Alfredów nie wyrosnie połowa dzisiejszej młodzieży męskiej? Nie znajdują się może tylko w takiej pozycji jak na scenie—nie będą się więc mogli w takich kształtach objawić. Lecz tak jak i Alfred dotknął się chorobą pozytywności, to jest realizmu w życiu i obojętności na prawa moralne. Ta choroba jest zatyciem w egoizm—niczem więcej. Wszystko co się mówi o innych jest tylko częścią deklamacją, ustępstwem dla głupiego, mającego jeszcze idealizmu, furtką do nieba materyalnego zysku i materyalnego użycia. Choroba pozytywności jest nie tylko chorobą serca ale i umysłu, jest wprost umysłu tego niedołęztwem. Dalej okiem nie sięgać jak po za własny cień—czyliż się może nazwać mądrością? I co znaczy formuła: gdy się każdej jednostce dobrze dziać będzie, wszystkie będą szczęśliwe? Jak gdyby pomyślność ogólna była sumą pomyślności indywidualnych!

Wiele umysłów widzących złe, pociesza się starą maksymą: „Niech się młodość wyszumi!“ A tu właśnie szumienia wcale nie widać—przeciwnie jest jakaś dziwna trzeźwość, odrętwiałość. Juk tu się ma wyszumić to, co już jest szczerą tylko szumowiną? Czego się spodziewać od młodzieńca, który—jak to się dziś zdarza—pożycza matce i bratu pieniądze na weksel, a gdy termin minie, przychodzi do obrońcy sądowego oddać sprawę przeciwno matce własnej i siostrze, i jeszcze dziwi się, jeśli obrońca sprawy tak szlachetnej przyjąć nie chce. Nie będzie z takiego syna Alfred Choryński—i czy Narzyski co-

kolwiek bądź przesadzał, nakazując swemu bohaterowi złego tradować własnego ojca? Nie—nie. Złe jest widoczne: nie zamykajmy oczu na nie. Radzimy raczej—radzimy wychowaniem lepszym—bo jeśli jest złe, to z winy wychowania. Społeczeństwo dużo poświęca sił i kapitałów na produkcję wszelkiego rodzaju — a zapomina o najszlachetniejszej i najważniejszej, największego wymagającej moli — o wykuwaniu dusz ludzkich z twardych brył natury. Rodzice, bądźcie przekonani, że jeśli macie złe dzieci, to dlatego tylko, żeście tej pracy podjąć i spełnić nie chcieli lub nie umieli.

Słyszałem z ust bardzo poważnych skargę na pozytywność młodych kobiet naszych.... Gdyby tak było rzeczywiście, zwątpiłoby należało o poprawie—bo gdy rodzina przez kobietę tylko podnieść się może—coż będzie gdy kobieta u ogniska domowego stanie z tem samem złem, które właśnie wytypić należy? Kto będzie trzymał wtedy straż uczciwości, uczucia i ideału? Czy mężczyzna gonący za zyskiem, czy kobieta gonąca za używaniem? Gdzie będą te życia wielkie i piękne, o których Alfred de Vigny, jeden z najzaciejszych talentów pisarskich we Francji, powiedział, że są snami młodości urzeczywistniane w wieku dojrzałym? Z rozpamiętywania tego przedmiotu dusza wynosi tylko jedno: smutek głęboki.

* * *

Czy nie miałem powodu z niechęcią odzywać się o zimie? Czyby mi podobnie smutne, gorzkie, gryzące myśli przyszły do głowy w lecie? Bawiłbym się gdzie wesoło za miastem, a przynajmniej tykał kurz ogrodu saskiego: zapatrzony w drzewa i niebo, nie widziałbym nędzy ludzkiej, nie potrzebowałbym nikogo nudzić, może nawet martwić. — Żałuję, że nie zaczął od razu o wystawie rolniczej, której Niemcy, zawistni na powodzenie jej patrzący okiem, nie mogą nam wybaczyć. Jeden z tych *germanissimi* w „Gazecie Słazkiej“ z powodzenia wystawy, z jej wartości niezaprzeczanej dla postępu produkcji w kraju naszym bierze assumpt do wykazania, że właśnie ta produkcja i praca wydająca je z siebie nie są warte. Co tylko było dobrego na wystawie, twierdzi pan krytyk — wszystko zawdzięcza powstanie swoje mózgowi i ręce niemieckiej. Na taką arrogancję niema żadnej możliwej odpowiedzi; pycha niemiecka wychodzi tu z korbów normalnych funkcji umysłowych — przedstawia się jako chorobliwe zboczenie myśli. Czytelniczki „Bluszczu“ otrzymują w dzisiejszym numerze dokończenie sprawozdania o wystawie. Odczytanie tego artykułu każdy nieuprzedzony umysł przekonane musiało, żeśmy się za daleko nie unieśli w sądzie, pisząc na tem miejscu o zaniebaniu, w jakim znajduje się praca kobieca. Gdybyśmy mieli przed sobą wykazy statystyczne produkcji ekonomicznej dopełnianej przez kobietę, prowadzonej przez nią przy pomocy kapitału i środków, jakich wieś obficie dostarcza — moglibyśmy umyślnie nie wierzyć jeszcze w to, że po dworach wiejskich dla pomnożenia produkcji nie się prawie nie robi, przekonać cyframi o błędzie, jakiemu ulegają. Lecz to rzecz, innego kompetentniejszego pióra i rzecz, sądzę, jeszcze nie stracona.

Do wystawy rolniczej przypłyły się dwie myśli: jedna spełniona już, druga nie sformułowana nawet jeszcze w projekt. Konferencye w przedmiotach rolnictwa dotyczących odbywały się przez dni cztery i przeciągnęły jeszcze poza czas trwania wystawy. Nie były one ani dobrze przeprowadzone, ani podobno nawet zakreślone do punktów najważniejszych dla rolnika naszego. W obradach nie zachowywano rzeczywistego logicznego ładu, nie roztrząsano przedmiotów, ale je spychano czempredzej, aby tylko z siedemnastu pytaniami wydażyć na termin. Była to robota „sobotnim ściegiem na niedzielny targ“ i zdaje się, że taką też trwałość mieć będzie. Referenci właściwi zajmują się obecnie redagowaniem lub drukiem protokołów rozpraw z przedstawieniem w każdym punkcie rezultatu, do jakiego doszły konferencye.

Druga myśl bardzo ważna, praktyczna i ze wszech miar na poparcie zasługująca, odnosi się do założenia w Warszawie stałego muzeum techniczno-przemysłowego. Muzeum podobne byłoby niustanną wystawą i szkołą okazową dla rzemieślnika i prze-

mysłowca i sądzę, że przyczyniłoby się nie mało do udoskonalenia produkcji. Musiałoby jednak dla spełnienia tej misji być instytucją bardzo kosztowną, milionów dla siebie wymagającą, założoną na wielką skalę i urządzoną metodycznie, tak aby wskazywało jasno wszystkie drogi, jakimi postępuje praca produkcyjna w przetwarzaniu materii. O takim zakładzie ani nam przy środkach naszych marzyć; możnaby jednak urzeczywistnić myśl powziętą w granicach skromnych a koniecznych i takich, na jakie pozwala zamożność i zasobność nasza. Dotychczas z wielu stron ofiarowano już bezpłatnie okazy do przyszłego muzeum; robi się więc coś—ale to dopiero drobna cegiełka. Muzeum nie będzie mogło powstać nie uzyskawszy zezwolenia Władzy, a o to nikt się jeszcze nie stara, jeśli nas dobrze poinformowano.

Muzeum techniczne doktora Baranieckiego w Krakowie wzniosło się własnymi jego siłami. Warszawa nie zdobędzie się pewno na swego doktora Baranieckiego, ale nie wątpimy, że znajdzie w sobie dość ludzi chętnych do przyrzeczenia grosza na cel ogólnie uznanej użyteczności, cel wytknięty w kierunku dążeń dzisiejszego wieku.—W Warszawie nie potrzebowałby się założyciel muzeum kłopotać o: komu zostawi je po swej śmierci—a troska taka jak mi mówiono zachmurza uczciwe obywatelskie życie Dra Baranieckiego.

* * *

Dawno już nie mówiłem o pismach naszych, a za szły w wydawnictwach ich i w kierunkach i w pożytności zmiany zasługujące na zaznaczenie. „Niwa“, „Opiekun Domowy“, „Przyroda i Przemysł“, „Ognisko rodzinne“ pozmienniały swe redakcyjne. „Niwa“ zamieniła się w pismo innego zupełnie pokroju. Utraciła barwę polemiczną i silnie pozytywną, nie walczy już dzisiaj z ideologią—termin użyty z powodzeniem pierwszy raz przez Napoleona I—i nie znajduje się w konieczności bronięcia ideałów. Napis wyznanie wiary niejako streszczający: „wiedza to potęga!“ nie ma już dziś znaczenia, jakie mu nadał Buckle w swojej „Historii cywilizacji“ mianowicie „że tylko wiedza jest potęgą“. Dzisiejsi pracownicy „Niwy“ na których czele stoi p. Ochowicz, nie ignorują praw uczucia, nie zamykają oczu na piękno, wsłuchują się w bicie serca ludzkości; wiedza, wiedza pożytywna, jest dla nich potęgą, ale nie jedyną. W „Niwie“ zewnętrznie z gazety zamienionej na książkę, dokonała się i wewnętrznie zmiana, która pismu temu na dobre tylko wyjść może, jeśli ją poprzez działalność kilku chociażby wybitniejszych zdolności literackich. Publiczność będzie musiała z czasem zainteresować się pismem, które nie bryzgając nikomu w oczy swymi tendencjami, potrafi połączyć przyjemne z pożytecznym. W Niwie reformowanej od 1 lipca, spotykamy obok prac poważniejszych z dziedziny nauki i umiejętności ścisłej—w odosobnieniu zbyt niekiedy specjalnie przedstawiających się — dobre przeglądy teatralne, korespondeney, kronikę zagraniczną, kronikę miejscową, rozbiory krytyczne, pisane wytrawnie. W ogóle wydawnictwo znajduje się na dobrej drodze. Redakcja podjęła w ostatnich czasach myśl bardzo pożyteczną: przystąpiła do zbadania i przedstawienia czytelnikom swoim stanu ekonomicznego większych miast naszych.

Na podniesieniu się „Niwy“ stracił „Opiekun Domowy“ prowadzą go bowiem też same prawie siły, które krzątają się około „Niwy“. Wydawnictwo książek pedagogicznych, pod względem merytorycznym bardzo dostępne, zasługuje na uznanie ze strony ogółu i zalecamy je rodzicom w przeświadczeniu o istotnej jego użyteczności.

„Przemysł i Przyroda“ przeszły także w inne ręce. Ster redakcyjny od d. 26 maja r. b. objął p. Józef Lessman, zapewniwszy sobie stałe współpracownictwo czterech innych ludzi oddanych naukom fizyko-matematycznym, którzy razem z nim tworzą komitet redakcyjny. Kilka imion zasłużeńszych w nauce przyrzekło redakcji pomoc piśmienniczą. Przewodnictwo jednemu z nas pisma poświęconego dla przyrodnictwa nabrało pełności i powagi przez dokonaną zmianę. W jednym z ostatnich numerów „Przyrody i Przemysłu“ ukończoną została obszerna praca p. Skomorowskiego o Genezie gatunków według Darwina. Autor na podstawie badań

ludzi uczonych i z pomocą ścisłego logicznego rozumowania teorię nowatora angielskiego poddaje takiej krytyce, że prawie nie z niej nie zostawia. Profani mający tylko ogólne pojęcia o przyrodzie, jej prawach i siłach, pracę p. Skomorowskiego odczytać mogą z zupełnym zrozumieniem rzeczy. Jest ona bardzo na czasie, zasługuje na poznanie — i na niejednen umysł dobroczynny wpływ wywrzeć może.

Redakcję pisma „Ogniska domowego“ objął pan Bronisław Przyrembel.—Po długiej, kilkumiesięcznej przerwie, spowodowanej zmianą stosunków redakcyjnych, pismo wychodzi zaczęło na nowo dopiero z początkiem bieżącego kwartału. W pierwszych paru numerach widać staranność i zaczął tendencję.

* * *

„Biblioteka celniejszych utworów literatury europejskiej“ pomieściła już w tomie wrześniowym część poematu Seweryna Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski“. Poemat ten przed pięćdziesięciu laty wyszedł w Warszawie i do tego wydawnictwa odnosi się właśnie jubileusz przygotowany sędziwemu poecie na rok przyszły. Młodsze pokolenie nie znające wcale utworów dawniejszych, przy czytaniu „Zamku“ doznać powinno prawdziwej duchowej rozrywki na widok tych świetnych, ponuro malowanych, a potężnie rysowanych obrazów, jakie rozciąga przed nami ognista imaginacja poety. Dzisiejsi wieszczę i niewieszczę, a w każdym razie ludzie posługujący się mową bogów—w większej części odznaczają się tem, że mają za mało w sobie syntezy, jaką dać może tylko talentowi silne, skoncentrowane uczucie. Chcąc być poetą w wierszach trzeba być koniecznie, potrosze przynajmniej, poetą w życiu. *Poezja prawdziwa może być tylko wypływem poetyczności*, jako wrodzonego i w życiu wykształconego przedmiotu duszy. Modlić się i ofiary palić ideałom przy ołtarzu — a śmiać się za ołtarzem: któżby w taką poezję uwierzył?

* * *

Ze wszystkich kobiet na kuli ziemskiej — a jest ich ku utrapieniu nas biednych mężczyzn podobno 700,000,000 wyrażnie *siedemset milionów*—najwięcej dają o sobie mówić i słuchać każą kobiety plemienia anglosaksońskiego. Są one najruchliwszymi i nie waham się powiedzieć, najwięcej duchowo wyrobionymi. Dojrzyś cienie, ale dojrzyś też i światła wielkie między nimi. Takiej kobiety jaką była Marya Somerville, o której czytelniczki „Bluszczu“ w obszernym artykule przed trzema tygodniami ukończonym, znalazły tyle zajmujących szczegółów, długo szukałyby potrzeba poza Anglią; w Anglii samej, wkrótce nie będzie już ona należeć do nadzwyczajności. Uderza szczególnie w kobietach angielskich wysoki rozwój ich umysłowości. Somerville była niepospolitym astronomem i fizykiem; zmarła we wrześniu Lady William Russell miała w całej Anglii sławę jednego z najprzewodzących filologów i znawców starożytności. Mówiła i pisała po grecku i po łacinie, a to nietylko dla błyszczenia, lecz dla istotnej działalności umysłowej: wiedziała co mówić i pisać w obu językach. Doczekała późnej starości prawie tak sędziwej jak Marya Somerville. Była w środkowej epoce swego życia powagą polityczną: pośredniczyła w niejednym układzie stronnictw i osobistości ścierających się na arenie publicznej, wywierała wpływ nawet na kombinacje gabinetowe. Arystokratka z rodu i konserwatystka całe życie w tych surowych kształtach przetrwała; była tylko liberalną, aż nadto liberalną w kwestyi równouprawnienia kobiet. Na tem polu zniknęła już arystokratka, przywiązanie do tradycji, część dla instytucji. Russell szturmowała do kapitolu Anglii, aby nań wprowadzić zastęp kobiet, które koniecznie wyposażać chciała czynnem i biernem prawem wyborów politycznych. I nie można się jej dziwić: własną dzielność przenosiła na inne podobne sobie istoty i zdawało jej się, że wszystkie kobiety powinny tak samo jak i ona uczuwać namietność do życia politycznego, tak samo je rozumieć, tak samo posiadać możność i uzdolnienie ku niemu. Umierała nie osiągnawszy celu swych dążeń, a prawdopodobnie dążeń tych żałując.

Lady William Russell była naturą poważną, choć się kłębiła w kole idei awanturniczych, bezładnych. Pani Wodhool, przybyła przed kilkoma tygodniami do Paryża z Ameryki, jest i z usposobienia i z zawodu swego awanturnicą. Ciekawy to okaz. Wodhool sprawuje godność pułkownika milicji; musi być niezmiernie uprzejmą, ale na sposób scharakteryzowany przez Fredrę w „Damach i luzarach”. Zjednała sobie między współobywatelami takie zaufanie, że ją wybrali w r. 1872 na kandydatkę do krzesła prezydenckiego w Rzeczypospolitej. Brakło tylko malej rzeczy, większość głosów, a *Dom biały* w Waszyngtonie, byłby otrzymał nadzwyczajnego, nieprzewidzianego przez konstytucję lokatora; w miejsce generała Granta w buletynach politycznych występowałaby dziś miss czy mistress Wodhool. Dla samej nadzwyczajności, dla sprawienia uciechy humorystom warto było wybrać kandydatkę — choćby tylko na tydzień. Ale się jakoś Unia amerykańska nie dała nakłonić nawet do niewinnego żartu.

* * *

Pięć miesięcy już tylko oddziela nas od terminu, zakreślonego przez redakcję „Bluszczu” na napisanie dzieła konkursowego o wychowaniu macierzyńskim. Przypominamy ten termin wszystkim stawajacym do szlachetnego współzawodnictwa; pragnęlibyśmy bowiem w interesie ogółu matek i nauczycielek naszych, aby jak najwięcej dzieł przyszło pod ocenienie komisji, do której redakcja ma zamiar wprowadzić najpierwsze powagi kraju. Warunki konkursu i programat dzieła wskazane są w N. 9 *Bluszcza* z r. 1874.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Sąd Michała Grabowskiego o *Wieczorze adwentowym* Elżbiety Jaraczewskiej. — Kilka jeszcze uwag. — Pałac w Jazdowie. — Hrabia Adam. — Hrabina Klara. — Poranek majowy. — Myśliwiec. — Dwa strzały. — Wiazanka niezapominek.

„Utwór ten (mówi Michał Grabowski, znany krytyk i estetyk), jest zbiorem kilku oddzielnych, a lekkim węzłem powiązanych z sobą powieści, które przenoszą nas za przemian w samotność wiejską, w życie małych miasteczek i Warszawski świat wielki i wszędzie z równą trafnością malują właściwe obrazy cnót, wad i śmieszności. Chcąc wyliczać dobrze skreślone charaktery, trzeba by wyliczać je wszystkie, bo są z jednostajną trafnością oddane, chociaż tak niepodobne jedne do drugich. Nie należy jednak przepomnieć w powieści pani Jaworskiej (trzeciej części *Wieczoru adwentowego*) charakteru jej *ciotki*. Charakter ten, najpiękniejszy wzór chrześcijańskiej wdowy, nie mógł może gdzie indziej powstać, tylko wśród naszych obyczajów, bo mamy na to historyczne dowody, że były u nas osoby, przy wszystkich skarbach nowoczesnego świata, przy uprzejmości największej, korzyściach bogactw i wysokiego położenia światowego, wiodące życie poświęcone całkowicie samej enocie i religii, jak owe matrony pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Oprócz u nas znanych imion, nie jeden zapewne mógł jeszcze rozminąć się w życiu z jaką z tych osób umarłych, już dla osobistego szczęścia, ale żyjących dla dobra bliźnich, zasmuconych do końca życia w duszy, ale na twarzy noszących tylko wysokie pociechy religii. W kraju naszym, po prowincjach szczególnie, skutkiem niewystąpienia do ostatniej chwili z kolei obyczajowości chrześcijańskiej, stan który w gminnym wyrażeniu nazywają *dewocją*, jest dość pospolicie jeszcze trybem życia, skolatanych nieszczęściami, albo znękanych wiekiem osób, dla których w towarzystwie, nieszczęśliwym pozbawio-

nem wiary, nieby nie zostawało chyba olów zabójczy, lub dym węgli ziemnych, których też lekarstw ci nędzni nie rzadko używają.

„Między naszymi wśród pola leżącymi mieszkaniami, spotkasz czasami biały i cichy domek, który jest prawdziwą pustelnią, połowym klasztorem bez klauzury. Ja sam sobie przypominam takowe i dla tego *Buczyn* autorki, ma dla mnie urok znajomego przedmiotu. Bo któż nie pozna, że następny obraz rysowany był z natury.

— „Mały domek, (pisze Jaraczewska) zielone *rasowe* obicie i firanki, kanapy i stołki z włosiennej *gdanskiej* materyi, staroświeckie skromne meble, głośno bijące zegary z wagami, łóżko za kotarą ciotki, przy którym był klęcznik pod dużym krucyfiks, obiad o dwunastej, kolacja o siódmej. *Ciotka* w kamlotowej ciemnej sukni, kilku ludzi w żupanach, jedna stara Gertruda ciotce razem i mnie służąca; lekcye regularne księdza guwernera, pielęgnowanie chorych, czytanie książek historycznych i przechadzka za rozrywkę, oto jest wierny obraz domu mojej ciotki i mojej młodości, a jednak byłam szczęśliwą.

„Jaraczewska ma zasługę za swe malowidło; nie znam charakterów ludzkich, naznaczonych wyższem piętnem, jak te, które ona wystawia, oświecone i przejęte prawdziwą religią. Gotówbym utrzymywać nawet, że zasługa to wzorów, które autorka tak wiernie oddaje; nie widzę bowiem gdzie indziej tej dziedzicznej wiary, pojednanej z oświeceniem jako jednym z tamtej naturalnych przymiotów! Historia *pani Podstoliny*, strata okropna syna, jej stałość, poddanie się woli Boskiej, boleść pokonana, zamknięta tylko w głębokich tajemnicach serca, wszystko to najcudowniej jest skreślone. Podobnie smutna, lubo zupełnie odmiennego toru w życiu, jest druga postać w powieści, *pani Palewska*, postać również rysowana z otaczającej nas natury.

„Z instynktem artystycznym wystawiła Jaraczewska naprzeciw cichego ustronia *Buczyna*, dwór *Grodkowski*, a iten znowu, tak obyczajom krajowym wierny. Szczegóły pogrzebu Chorażego, macocha zabobonna, tak odmienna później śmiercią *Podstoliny*, wszystko to są kartki z niewypowiedzianym talentem pisane, a przytem eo godnego uwagi, to cieniowanie charakterów, (pisarz bowiem, lichy używa tylko wielkich światła i wielkich cieniów), wystawia przeciwieństwo cnoty lub zbrodni. Nasza autorka wie jaki to splełany zwój, to serce ludzkie; nierozważny ojciec przychodzi do upamiętania przed śmiercią; macochę, którą gotowiliśmy byli nienawidzić, poznajemy bliżej: to tylko pospolita i słaba osoba, ale wyraźnie dobra, zasługująca na pobłażanie, a nawet za przychyłność. Takim sposobem zewsząd nowe charaktery powstają i widzimy się otoczeni nieprzebraną różnorodnością rzeczywistości.

Wreszcie M. Grabowski zwraca uwagę, na część pierwszą *Wieczoru adwentowego* i słusznie uważa go za doskonalszy staroświecki wizerunek, mający większą malarską wartość jak reszta dzieła, chociaż powyżej pokazał jak wysoko ją cenił.

„Starosta Staliński (pisze), wychowaniec *Lunewski* i wszystkie inne akcesorya tej głównej figury, są tak żywe, tak naturalne, tak z ram wychodzące, że jest to doprawdy największej ceny portret historyczny. Wszystkie tu są obrazy takie, których pozazdrościłby mógł Walter-Scott. Gdyby Jaraczewska to tylko napisała, zasłużyłaby na wielką sławę w naszej literaturze, bo dostawiłaby już rzetelnie z łona naszej przeszłości wydobytch, na zawsze wydartych zapomnieniu i przyswojonych sztuce, postaci. Warto prawdziwie rozmyśleć sztuki mistrzów, dla czego w obrazie obyczajów narodowych, wstawiony wizerunek innego, upłynionego wieku, nawodzi na całosć wyższy koloryt, malowidło rodzajowe przemienia niejako w historyczne, pozorną prozę w najjaśniejszą poezję. Cały utwór gdzie wchodzi Starosta Staliński, zda mi się dorównywać najraadszym wysiłkom narodowego geniuszu, kiedy sprostał mgłę przeszłości na chwilę odsłonić, albo zatrzymał który z tych *umykających jej kształtów*. W samej rzeczy, część to mistrzowska; po szczeroci rysunku, po właściwości koloru, po drobniogowej dokładności, nie można zapomnieć, że to jeszcze z żyjącego wzoru studium. Zresztą całe tło, w które wsnuty został wizerunek, jest przewyborne; alboż historia tego syna ożenionego mimo woli staroświeckim trybem samowładnych rodziców, nie zaj-

mująca? alboż pojednanie ich nierozrzućnia tem bardziej, im uczucia przeciwne są tamowane od przejawienia się na zewnątrz? Ten syn, obrażający ojca tem, że wchodzi w czynny zawód służby krajowej, nie cechujeż tak dobrze swojej epoki, jak starzec w atłasowym fraku? Sam *Zdzisław* akademik *Warszawski* nie przenosiż nas w trzecią epokę? A później zatuschnienia czynnego młodzieńca w innowiecznym *Stalinie*. Słabość jego, nerwowa namiętna tęsknota, żeby przynajmniej burza w powietrzu przerwała jednostajność którą oddycha, wszystko to doskonałe zbadanie i odbicie natury¹⁾.

Przytoczyliśmy obszerniejszy ustęp z rozbioru *Michała Grabowskiego*, jako uzupełniający treść „*Wieczoru adwentowego*“, ale nie możemy naszego zadziwienia zataić, że taki krytyk i estetyk, nie zwrócił większej uwagi na skreślony charakter *Zofii* w pierwszej powieści Jaraczewskiej: *Zofia i Emilia*.

Myśliciel głębszy, zastanowić się musi nad sceną między matką a córką, gdy pierwsza chce zmusić dorosłą dziewicę do zaślubienia wojewody *Mirskiego*.

— Czytaj, zawoła *Delfina* *Sławińska* do córki, rzucając jej z gniewem list wojewody, a nie wątpię że po krótkim oblakaniu, wrócisz do swego obowiązku i wypełnisz moją wolę.

Wyrzekłszy mocno te słowa, jakby sama siebie o tem przekonać chciała, patrzyła wciąż *Delfina*, na nieporuszoną podczas czytania twarz *Zofii*, gryząc wargi i drżącymi rękami przerywając frandzle od szalika, którym się bawiła.

— Matko! odezwiała się nareszcie *Zofia*, kładąc list na stole i pierwszy raz przed nią całą moc charakteru rozwijając; nie będę nigdy żoną wojewody! Nigdy! dodała z lekko szyderskim uśmiechem, nie zaprzędam mej ręki i nie stawię się w smutnej konieczności, żądania śmierci tego, któremu miłość przysięgnę i udawania przed zazdrością drugich, szczęścia, którego w domowym pożyciu ani cienia nie będę znajdować! Mam już umysł i charakter wykształcony, myślę, czuję sama przez siebie, mogę więc już wybór uczynić i o swoim losie stanąć. Wkrótce i w obliczu prawa, do tego usamowolnioną zostanę, a nigdy, przysięgam, nie posiadającemu mego serca, ręki mej nie oddam!

Jaraczewska, jak ze wszystkich jej utworów wiziemy, brała z żywych utworów do swych powieści postacie. Autorka tak sumienna, nie podałaby tej sceny, pierwszy raz w świat literacki wstępując, tak groźnej, smutnej, a wymownej, gdyby jej w rzeczywistości nie widziała. Więc duch czasu i opinia publiczna, upomniała się już głośno o te prawa należne wolnej woli człowieka-kobiety? Tak zaprawdę, słowa *Zofii*, odwołanie się jej do powagi prawa, które ją same po dojściu lat usamowolnią, dają stanowczy na to dowód.

Jeżeli z jednej strony ten opór córki nas uderza, wymagania *złej* matki oburzają; więcej przykładów najsmutniejszego pożycia z niedobranego stadła było już niemało. Prasa peryodyczna, nierozwinięta, milczała w swej niemocy; ale w żywym słowie obiegały one i z grozą przejmowały zarówno zacne, tkliwe i kochające matki jak i dziewice polskie. Właśnie w tej porze, opowiadane smutne losy *hrabiny Klary*, były we wszystkich ustach. Przypomniemy je naszym czytelnikom.

W całej okolicy słynął wspaniały pałac hrabiego *Adama* w *Jazdowie*, nie tylko ze swej pysznej architektury, ale ze skarbów sztuki jakie zawierał w sobie w obrazach pierwszych mistrzów, z rzeźb zachwycających, bogatej biblioteki i zabytków starożytności. Dodawały mu nie mało powabu, obszerny i gustowny ogród i wielki park angielski otaczający go w około, a cały ten uroczy krajobraz ujęty był z jednej strony jakby niebieską wstęgą, małą ale bystrą rzeczką, która przelewała swe wody wpośród łąk zielonych do dużego stawu, z drugiej strony, zamykały go ciemne dębowe i iglaste bory.

Pałac był piętrowy: na dole mieściła się służba przybozna, w czterech zaś salonach przyjmowano gości i bawiono się w czasie większego zjazdu.

Pierwsze piętro całe zajmował hrabia *Adam*, ze swą piękną i młodą małżonką. Szósty rok właśnie

¹⁾ Literatura i krytyka, Wilno, nakład i druk Teofila Glücksberga, 1840 r. T. II, „Literatura Romansu w Polsce“.

dobiegał kiedy ją poślubił, i odtąd jak mówił czuł się najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Hrabina Klara, liczyła rok dwudziesty czwarty życia, w całym rozwoju uroczych wdzięków, i tego powabu młodości, który je jeszcze więcej podnosił. Dobrego wzrostu; smagłej postaci, odznaczała się rysami oblicza tak pięknymi, że można by powiedzieć, że jej twarz i oczy były ciągle *anielone*, taka słodczy, taka łagodność nadziemską z nich przebiegała.

Hrabia w swej małżonce widział oprócz tych wdzięków, arystokratyczne rączki i nóżki, nadzwyczaj drobne a składne. Znałca głęboki sztuk pięknych, zachwyconym został, że znalazł w młodej dziewczynie istotę, o której tak wiele marzył, co ideały jego ucieleśniał, w tak zachwycających formach. Pierwszy raz, jak sam mówił, na jej widok uczuł gorętsze, nieznane mu uderzenia serca, użył też wszelkich sposobów, jakie mu podawały jego stanowisko społeczne i bogactwo, ażeby uzyskać rękę czarującej dziewczyny: po dwóch latach usilnych starań, zaprowadził ją na kobierzec ślubny i otoczył całym przepychem i zbytkiem, o jakim tylko młoda jej myśl zamarzyć mogła.

Była to właśnie druga połowa maja, nadzwyczaj pogodnego i ciepłego. Hrabia Adam z małżonką swoją opuściwszy wspaniały apartament zimowy w Warszawie, przeniósł się na letnie mieszkanie do swego pałacu w Jazdowie, do którego zdawało się że tęskni jego żona — i od tygodnia w nim zamieszkał.

Klara wdzięcznym uśmiechem dziękowała mu za tę niespodziankę tak dla siebie miłą. Tu bowiem oddychała wolniej, zbliżoną była do rodziców, którzy o trzy małe milki, zamieszkiwali w jej gnieździe rodzinnem. Swobodna jak ptak, wstawała wcześniej, otwierała okno swojej sypialni, napawając się balsamiczną wonią powiewającą z ogrodu, pól i lasów. I dziś, był to dzień sobotni, poświęcony czci Najświętszej Maryi Panny, zerwała się ze snu, wcześniej niż zwykle, zapaliła srebrną lampkę przed obrazem Boga-Rodzicy, a po gorącej modlitwie stanęła w otwartym oknie.

Rosa poranna perliła się na kwiatach, liściach drzew, i na bujnych łąkach, a słońce wzbijając się w górę, brylantowało każda jej kroplę. Na smugach i pastwiskach, mgła jak lekkie chmurki osiadała, tworząc olbrzymi dywan białawy, przejrzysty, z pod którego opony przegłądały to niebieskie wody bieżącej z szumem rzeki lub spokojnego stawu. Ciepły powiew z dalszego lasu, przynosił harmonijny szum drzew, a z nim kukanie kukułki i z nad niwą pieśń poranną skowronków.

Klara z zachwytem spoglądała na czarujący obraz jaki się rozwijał przed jej oczyma, słuchała z rozkoszą tych śpiewaków bożych, napawając się chciwie powietrzem lekkim, przepachniałym i tak odżywiającem pierś każdą.

Zegar wielki na wieży pałacowej głośno wybił szóstą godzinę poranną. Wszędzie jeszcze była cisza klaszorna. Służba dworska na dobre spała, bo pan hrabia budził się o dziewiątej, a wstawał o dwunastej. Ta cisza i spokój, tym przyjemniejsze były dla niej, bo mogła oddać się bez przeszkody swoim marzeniom. Po krótkiej jednakże chwili zwróciła spojrzenie po za rzekę. Równina, która wciąż biegła, tu się nagle podnosiła, a na najwyższym pagórku, ujrzała wyniosłą postać myśliwego. Stał zwrócony twarzą do pałacu, jakby wpatrywał się w jej okno; wyżej u nóg jego spoczywał.

Oblicze młodej kobiety z początku nabrało wyrazu trwogi, a następnie podziwu, które się wprędce rozlały w rzewność pełną słodyczy. Uśmiech, jakby szczęścia niebiańskiego okraślił różane jej usta, a pierś spokojną, wstrząsała się i podniosła do głębokiego westchnienia.

Myśliwiec stał nieporuszony, opuścił smutnie głowę: ale po chwili odwrócił się nagle, wystrzelił z dubeltówki, i ruszył podwójnym krokiem do blizkiego lasu, znikając w jego cieniu.

Słońce wybiło się już wysoko, a ona jeszcze nieporuszona stała: krople rosy ulotnione uleciały, ale z oczu Klary łzy zrosiły jej z początku zarumienione, a teraz przybladłe oblicze. Odwróciła głowę od okna, ujęła krzyż z przed obrazu Matki Boskiej i gorącą wzniosła modlitwę. Śnać ukojona w swoim wzruszeniu, zesłała bocznymi wschodami do ogrodu. Szła śpiesznie szeroką aleją świrkową, aż zmęczona usiadła na kamiennej ławce, pod starym dę-

bem, który ją jakby zielonym namiotem, szerokiemi konarami okrywał. Ławka ta stała na wybrzeżu ogrodu, z kądem znowu ujrzała wzgórze na którym ukazał się myśliwy. Wzgórze teraz było puste.

Opuściła głowę i z podziwieniem ujrzała obok na ławce, małą wiązaną świeżych niezapominajek: porwała ją z gorączkowym wzruszeniem, przycisnęła do ust i powstała, gdy zdała dostrzegła śpiesznie idącego kamerdynera.

— Pan hrabia, mówił z ukłonem zbliżywszy się więcej, dzień dobry zasyła i prosi pani hrabiny na herbatę.

— Oż się stało panu hrabiemu, że wstał tak wcześniej?

— Niewiem jasnie pani, ale mówił mi że miał noc niespokojną, a zbudziły go rano strzały jakiegoś myśliwego.

Oblicze hrabiny żywy rumieniec okrył, w tę chwilę zegar pałacowy uderzył ósmą zrana.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Sługa jasnie pani, stawię się!

— Panie Sieniuto, co słysząc? możemy jechać? gdzie Tatarowie? nie robią na nas zasadzki.

— Któż to tam w tym psim kraju, z pozwoleniem, za co ręczyć może — rzekł Sieniuto — ja jak się rano budzę, zawsze Panu Bogu dziękuję gdy mam głowę na karku znalazł. — I zamilkł z nogi przestępując na nogę.

— *Tandem*, dodał — posyłałem szpiegi. Tatarowie głowę sobie sami ucieli, nie tak są straszni. Murzie ich Szejtanowi syna tu ubito, nie bardzo radzi iść nowej biedy szukać. Tałałajstwo się to zebrało, ściągnęło tu jak na wielką wyprawę, bo ich jakimiś skarbami złudono; teraz się znowu rozpierzchli w stepie. Gdyby nawet wyrwała się banda, to nie liczna.

Postanowiono tedy po naradzie, ażeby Dulebą oddział ciągnął po nad granicą, zasłaniając od napadu, a Miecznikowa pod konwojem Kasztelanica, Sieniuty i kilkunastu ludzi miała wyruszyć, aż do Konstantynowa nie stając prawie i nie odpoczywając. Dalej już gościeńce były bezpieczne.

Strzeżono się rozgłaszać o wyjeździe w obawie szpiegostwa, bo parobków Dorszaka i niektórych ludzi z miasteczka za szpiegów miano. Wyjazd miał być niespodziany. Potajemnie naznaczono dzień blizki. Wozy ładowano kryjomo. Nikita tem kierował. Ludzie Miecznikowej cieszyli się wielce, bo im serdecznie do domów pilno było. Sieniuta za dwa dni, około pełni, pogodę potrzebną do podróży wróżył.

Nareszcie po rannej mszy, o brzasku dnia, szybko zaczęto wozy zaprzęgać, konie siodłać i do drogi się sposobić. Sieniuta z hajdukami wystąpił jako straż przednia, Kasztelanice stanął w kolebki od strony Jadzi. Miecznikowa już siedziała, gdy niespodziewanie zaszła drogę w czarnej sukni Dorszakowa.

— Co ja tu pocznę sama? — zawołała ręce załamując.

— Pułkownik Duleba zostaje! odezwała się Miecznikowa — przyrzekł mi nad wami opiekę.

Obejrzała się Agafia.

— A tak! to już Duleba! Ruszyła ramionami. Niech będzie Duleba, a panią niech Bóg prowadzi szczęśliwie.

Obejrzała się i rękę podała pułkownikowi.

— Miecznikowa mnie waćpanu oddaje — ona pani — co czynić, trzeba słuchać! Niemam nikogo! Powóz wyciągał już z zamku przez na nowo sklecony most, a za nim widać było w czerni stojącą Dorsza-

kową, która patrzyła jak osłupiała.... to na oddalającą się kawalkę; to na świeżo usypianą mogiłę.

Jadzia obejrzała się kilka razy na zamek, na okolicę, która jej się niegdyś wydawała tak piękną i wesołą, a teraz tak smutną. Tyle tu przeżyła — i z tak różnym uczuciem wracała do domu. Szczebiotanie wesołego kasztelanica dochodziło jej uszu, ale go zrozumieć nie mogła. Miecznikowa odmawiała „Pod twoją obronę.“

Ranek był już chłodny, lecz jeszcze piękny i pogodny, konie dobrze wypoczęte. Więc po przebyciu wawozów, gdy na równiejsze drogi wydobyła się kolebka, ruszono dosyć sporo. Sieniuta klusował i zagrzewał do pośpiechu, ażeby się wydobyć co rychlej z okolicy, którą jeszcze za niebezpieczną uważał. Szczęściem obawy były płonne i oprócz gromadek ludzi z wozami i zbożem jadących na targi, nie spotkano prawie nikogo do Konstantynowa. Jabłonowski pierwszego dnia był myśli wesołej i zabawiał jak mógł, sobą, rozmową, koniem, z którym dokazywał i strzelaniem do ptactwa, jakie się nawijało.

Jadzia tę drogę wspomnień przebywała milcząca. Jabłonowskiemu dalej nad Konstantynów jechać nie było można, ani potrzeba.

Pokazał się wreszcie drugiego dnia pośpiesznej podróży dominikański klasztor i zamek, a Kasztelanice na widok miasteczka westchnął ciężko. Nie skorystano wiele z podróży, lecz zakochał się już tak, że postanowił na własną rękę Miecznikowej do nóg paść i o pannę prosić.

Mrok gęsty padał, gdy stanęli w miasteczku i gośpodę dawną zajęli, w której Sieniuta z konia zsiadł, tak się czując zmęczonym, iż odwiedzenie brata do następnego dnia odłożył.

Ponieważ podróż nadzwyczaj była przyspieszoną i nużącą, a ludzie i konie głodne, wnet czując się tu bezpiecznymi wszyscy, rozłożyli się obozem wesołym. Miecznikowa zadysponowała wieczerzą, i Kasztelanica zaprosiła na nią. Ludzie czuli się tu już jak w domu, rozechmurzyli się czoła — przeszłość snem się wydawała. Mówiono o niej wesoło.

Kasztelanice smutny był i pomieszany, przy wieczerzy mówił mało. Zaraz po niej wyszła Jadzia do bokówki, ks. Żudra pociągnął do Sieniuty na przeciwko, Jabłonowski został sam na sam z Miecznikową. Była ona na niego tak macierzyńsko łaskawą, iż go do siebie osmiesiła. Przewalczywszy więc chwilę, przystąpił do niej Kasztelanice niby z pożegnaniem. Miecznikowa sposobila mu się pamiątką wywdzięczyć za jego opiekę i z owego skarba dobytego rzęd sadzony agatami przynieść kazała.

Gdy się więc żegnać począł, ona pierwsza dziękowała mu czule i dodała: — Nie odmówisz mi, Kasztelanice, wiem że ci na niczem nie zbywa, i że w domu wszystkiego masz pod dostatkiem, ale ja w imieniu męża muszę prosić, abyś przyjął małą pamiątkę odemnie.

I odkryła dopiero leżący na ławie pyszny rzędoł pozłocisty.

Kasztelanice zarumieniał się całując jej rękę.

— Pani Miecznikowo dobrodziejo.... jeśli kto ma komu dziękować to ja wam; z waszej łaski najpiękniejsze dni w życiu przeżyłem, a gdy się kończą — tęskno mi do nich i serce się za wami wyrwać będzie.

Al! karz mnie pani jako chcesz! za śmiałość moją, prawda że młody, że sobą nie władną, że od rodziców zależę, — ale sercem mojem ja sam władam tylko, a te, Bóg widzi, pannie Miecznikównie oddałem całe i na wieki. To mówiąc i całując rękę Miecznikowej, pokłakł przed nią.

— Pod waszą się opiekę oddaję! — zawołał.

Zarumieniła się p. Zbońska i kładnąc palec na ustach, podniosła go z ziemi.

— Wstań, panie Kasztelanice — na miłość Bożą wstań, proszę.

Ze wzruszenia mówić nie mogła.

— Jeżeli afekt wasz dla córki naszej stały a prawdziwy — rzekła w końcu, jeżeli Jadzia wam sprzyjać będzie, jeżeli Kasztelanstwo zezwoli, ja z serca pobłogosławię.

— Nic nie wiem, z zapalem począł Jabłonowski, oprócz że kocham pannę Miecznikównę z serca całego i że byłbym najszcześliwszym, gdybym ją za *sociam vitae* mógł pojąć. O to się starać, do tego dążyć nie przestane, a w p. Miecznikowej dobrodziej-

ce chce mieć orędowniczkę swoją i o łaskę jej błagam.

Po takim zagajeniu sprawy, Miecznikowa trochę z radości popłakała, łzy otarła i siadłszy w krzesło, a przy sobie posadziwszy Kasztelanica, dłuższą z nim o jego rodzinie rozpoczęła rozmowę. Ta dość jej była znana z ogłosu powszechnego; co się bliższego o niej dowiedzieć chciała.

Wywnętrzył się, w tem usposobieniu będąc Jabłonowski — ze wszystkimi troskami i nadziejami swemi, poprzysięgając że, gdyby przeszkody jakie zaszły, woli czekać lat dwadzieścia niż się wyrzec szczęścia nadziei.

Zapał, z jakim mówił, przejął niezmiennie matkę, która przyrzekła opiekę wszelką i pomoc stateczną. Po czem kasztelanica ucałowałszy ręce jej, prosił jeszcze jako o łaskę, ażeby mógł widzieć Miecznikównę i chociażby chwilę z nią pomówić.

Prośbie jego zadosyć czyniąc, poszła p. Zboińska do bokówki po córkę i razem z nią zaraz do pierwszej izby wróciła. Jadzia miała zasępioną twarzyczkę i wzrok smutny, a gdy się Kasztelanica twardo ku niej posunął, nie mogła się powstrzymać od cofnięcia na kilka kroków.

Miecznikowa coś miała do dysponowania, pozostali więc tak jak sami w rogu obszernej izby.

Kawaler począł oświadczać jak mu przykro i smutno tak miłe towarzystwo opuszczać, po którym wiekusią czuć musi tęsknotę. Spokojnym głosem podziękowała Miecznikówna za wszystkie dla nich podjęte trudy, zapewniając iż mu wdzięczności pozostaną. Ukłonem chciała rozmowę tę zakończyć prędko, lecz Jabłonowski się zbliżył i dworskimi komplementami a wyrazami gorącemi pamięci dopraszać się począł i łaskawego serca.

Panienka rumieniła się mocno.

— Mam nadzieję — rzekł — że gdy się wojna skończy, a swobodnym będę, Bóg da, przypomnieć się, do Mierzejewic przyjadę. Jakże mnie przyjmie panna Jadwiga?

— Jak najgościenniej będziemy się starali Kasztelanica przyjąć u nas i wdzięcznem sercem.

Spojrzał, westchnął, ale spojrzenie padało na spuszczone powieki, a westchnienie rozwiło się niedosłyszane.

Jadzia ukloniła się raz drugi, chcąc rozmowy dokończyć, Kasztelanica przeciągnął ją napróżno usiłował, zawróciła się i odeszła szybko.

Miecznikowa przystąpiła doń.

— Nie mam łaski u panny Jadwigi, — rzekł wzdychając.

— Dziecko trwożliwe, to się znajdzie później — nieśmiała jest, miej waszność cierpliwość, ja nad nią pracować będę.

Całował jeszcze ręce Miecznikowej Kasztelanica, a że godzina była spóźniona, żegnać już musiał. Na waletę jeszcze naprzeciwko kazał dać wina zaprosiwszy dwór i towarzyszków podróży, Sieniutę i ks. Żudrę, i jakoś wielki smutek, który miał na sercu, trochę przepadł i zwolnił.

Nazajutrz do dnia potrzeba było powracać Kasztelanici — i choćby się chętnie jeszcze zatrzymał, musiał rad nie rad wyruszyć.

Znużone konie i ludzie wymagali tu spoczynku choć przez dzień jeden. Na podziękowanie Bogu za ocalenie cudowne, posłała p. Miecznikowa piękny dar do klasztoru o wotywę dziecką nazajutrz prosząc. Ksiądz Żudra napisał list do księdza przeora Zająca, a Nikita poniósł go do dnia do Dominikanów.

Właśnie się wybierano na mszę, gdy długo z powrotem napróżno oczekiwany Nikita przywlokł się z klasztoru, ale tak posępny i przybity, jakby go tam jakie nieszczęście spotkało.

Stał w bramie z założonemi rękami i namyślał się zdawał co począć. Zwrócił się wreszcie do ks. Żudry i wziął go na bok.

— Cóż ty mi tam niesiesz, że się tak zbierasz, jak czajka za morze, spytał kapelan.

— Licho, лихо — rzekł Nikita, jużbym nie mówić nie wolał.

— Cóż tam?

— Wszak ci to nasz Janasz bez nadziei życia leży u Dominikanów, i już go słyszę na śmierć dysponowali. Wpuścili mnie do infirmaryi gdzie leży, nie poznał, a ja jego, gdybym nie wiedział, kto wie, czybym też mógł poznać.

Wyprawili go na zgubne imię... dowlókł się tu

ledwie i jak padł tak już nie wstał. Przyszła jakaś zła gorączka, choć ratunek był wszelki, zapóźno pono! Takiego człowieka zgubić mój Boże!

I zapłakał Nikita.

Wszczęła się tedy sprzeczka czy mówić lub nie p. Miecznikowej, bo się to zdawało nie potrzebnem, nadaremnie ją martwić, gdy już ratunku żadnego nie było. Szeptali tak po cichu, gdy drzwi, pod którymi stali, otworzyły się i z załamanemi rękami wypadła z nich Jadzia zapłakana.

Rzuciła się do Nikity.

— Widziałeś go?

Dworak się zmieszał widząc, że został podsłuchanym, niewiedząc jak odpowiedzieć. Jadzia krzyknęła i pobiegła jak nieprzytomna do matki. Właśnie się Miecznikowa wybierała z różańcem i książką do kościoła, gdy ujrawszy córkę w tym stanie, nie wiedząc co się stać mogło, domysłając się czegoś okropnego, pobiegła ku niej strwożona.

— Co ci jest! Jadziu! na rany Boże!

— Matko! On umiera — zawołała ręce łamiąc w rozpacz i padając na kolana — on umiera.

— Kto?

— Janasz!

Miecznikowa stała osłupiona, gdy wbiegł ks. Żudra, a za nim Nikita. Odkryło się wszystko.

Strwożona sama, natychmiast zaprzęgać kazała p. Zboińska, zamknęła jednak wprzód drzwi i zostawszy sama z córką, usiłowała ją utulić.

— Bardzo piękna miłość bliźniego i miłość braterska dla sieroty, odezwała się potem surowiej nieco, ale niech Jadzia nie zapomina, że ludzie nie nawykli do takich przyjaźni, źle je widzą i źle tłumaczą. Obey człek! na miłość Bożą.

— Jakto obey? matuniu — przerwała Jadzia — wychowaliśmy się razem, przywiązałam się do niego i nie mam płakać, gdy za nas i z naszej przyczyny umiera.

Miecznikowa sama mocno zmieszana, przerwała zaraz rozmowę, otarła oczy Jadzi, zarzuciła jej zasłoniętą w twarz i kolebkę podawać kazała. Całą drogę jechały milczące, matka słyszała łkania córki i udawała, że nie wie o nich. Zajeżdżała kolebka wprost przed kościół, gdy na wotywę uroczystą dzwoniło, weszły więc zaraz, poklekły, a ks. Zając już z zakrystyi do ołtarza króczył z asystencyą. Przez cały czas nabożeństwa, Jadzia miała głowę spartą o ławkę i płakała.

Najgorsza chwila nadeszła, pragnęła p. Zboińska widzieć chorego a córkę zostawić, aby jej oszczędzić bolesnego wrażenia, lecz Jadzia stanowczo się oparła, poczęła ją całować po rękach, chciała upaść do nóg i Miecznikowa lękając się oczów ludzkich, zaleciwszy spokój, musiała wiaść ją z sobą.

Janasz leżał w osobnej celi przy infirmaryi. Była ona maleńka, o jednym oknie, z prostym tapczanikiem i stolikiem w głowach jego. Braciszek nowicyusz siedział przy chorym odmawiając różaniec. Smutny nad wyraz widok uderzył ich oczy. Wyżółkły, wychudzony, z zamkniętymi powiekami, z otwartemi ustami, z obwiązaną głową Janasz leżał na poły już umarły. Na stoliczku stała gromnica zagasła. Przed kilką godzinami dysponowano go na śmierć, choć mało miał przytomności. Na obnażonej piersi widać było blizny od strzał tatarskich i medalik Jadzi. Miecznikowa i Jadzia stanęły w progu, ale dziewczę poruszone zapomniało o wszystkim, wyrwało się, przypadło do łóżka, poklekło i zwieszoną stygnącą rękę chorego wzięło w gorące dłonie.

Umierający drgnął, poruszyła się głowa, przykneły usta, powoli ocieźlałe podnosić się zdawały powieki.

Cichym głosem, jakby go napowrót powoływała do życia, Jadzia szepnęła:

— Janasz! Janasz!

Głos ten zaledwie dosłyszany, wśród ciszy klasztornej doszedł ucha chorego, Janasz poruszył się znowu, ale głowa zaledwie nieco dzwignąwszy się nad poduszki, padła na nie i powieki napowrót się zwaryły. Miecznikowa nieśmiała już odrywać córki od niego.

— Janasz! — głośniejszą poczęła wołać Jadzia, prawie rozkazująco.

Chory otworzył oczy, powiódł wzrokiem błędnym, źrenice zbladłe zatrzymały się, wlepiły w twarz Jadzi i zdając się czerpać z niej siłę do życia, otwierały coraz więcej. Błysk jakiś zaświecił w nich

jakby promieniem odbitym od oczów Jadwigi. Uczuła zimną rękę jego drżącą w swych dłoniach. Głowa podnosiła się, dzwignęła, sen zdawał się rozprasać. Chory spolał w koło niedowierzając sobie. Po chwili jakby znużony zamknął powieki, padł znowu i westchnienie ciężkie wyrwało mu się z piersi.

— Janasz! głośnie już powtórzyła Jadzia.

Usta chorego poruszyły się.

— Kto mnie woła?

— Ja! siostra — zawołała Jadzia — ty musisz żyć — tyś żyć powinien — ja nie chcę byś ty umierał. Janasz! Ostatni wykrzyk był pełen boleści i błagania.

Miecznikowa stała bezsilna; łzy jej ciekły po twarzy, chciała była odwołać córkę, czuła się przykutą do ziemi, patrzyła jak na cud, na to wołanie do życia, płynące z serca i dokonywające cudu w jej oczach.

Koreczak zerwał się i sady, wstrząsnął całym. Oczy otwarły się wielkie, ręką potarł czoło, patrzył i poznał Miecznikową, Jadzię, ale nie mógł myślał pochwylić zerwanej nici żywota.

— Janasz, ty będziesz żył! głośnie poczęła Jadzia, ty musisz żyć — ty nie umrzesz.

Chory poruszał się jakby bronił nakazowi, jakby mu od progu śmierci ciężko było powracać do życia, lecz przytomność, siła, oddech, ożywiały już tego, który był trupem prawie przed chwilą.

Miecznikowa przystąpiła do kolei.

— Jesteśmy przy tobie, Janaszku — rzekła, nie opuścimy cię — Bóg łaskaw, siły ci wróć. Masz opiekę, nie jesteś sam. My z tobą.

Oprzytomniały mileczał długo.

— Gródek! klasztor — zabili Tatarowie, niewiem, zapomniałem — odezwał się — czyż trzeba żyć? Nie mogę... wstać niemam siły, ale będę posłuszny, panni każe jechać? ja jadę, za kraj świata. Nikita... Konia... Gdzie ja jestem?

Jadzia widząc ten stan — poczęła go łagodnym uspokajając głosem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Powrót do gniazda. — Powieść J. I. Kraszewskiego. Warszawa, 1874 r.

Ofiary. — Powieść Teodora Tomasza Jeża. Warszawa, 1874 r.

(Dalszy ciąg).

Powieść Kraszewskiego, podsycona żywiołem dramatycznym, lubo nie rozwiniętym, tendencję swą ogranicza do jednego tylko faktu: zerwania węzłów wiążących jednostkę z rodziną i krajem. Stoi ona przez to jakoby w odwrotnym stosunku do wyszłej prawie równocześnie z nią powieści Jeża, p. t. *Ofiary*, która znowu wyrzekła się całkowicie żywiołu dramatycznego, a tendencję swą rozprzestrzeniła na wszystkie niemal żywotne stosunki w kraju naszym, głównie dotykając kwestyi wychowania; nie chwila już wyjęta z doli ludzkiej jest jej przedmiotem, lecz życie kilku pokoleń i to nie w jednej tylko, ale w kilku warstwach społecznych. Jest to obraz obszerny, wielostronny, urozmaicony, osadzony na realno-filozoficznem tle przyczyn i skutków, a tak skomplikowany, że zaledwie w przybliżeniu można treść jego sprawozdawczo scharakteryzować.

Rzecz dzieje się gdzieś na Podolu, czy na Ukrainie, a bieg swój akcja rozpoczyna kiedyś w końcu przeszłego lub na początku bieżącego stulecia; aktorami głównymi zaś jej: rodzina książęca, rodzina pół-arystokratyczna Podkomorzego, oraz jeden przedstawiciel szlachty chodackowej, schłopiałej, czyli tak zwanej czynszowej; w to wszystko wplata się jeszcze nieco szlachty pośredniej, rezydentów, księży i t. p., ale tylko w sposób podrzędny, dla większej pełności społecznego obrazu. Dom książęcy jest już całkiem zrujnowany i tylko na włosku wisi; składa się zaś z dwóch idiotów: ojca i syna, podległych całkowicie wpływowi i kierunkowi rezydującego oddawna ojca jezuitę, który był zarazem nauczycielem młodego księcia, ojcem duchownym obydwóch, administratorem ich dusz, ciał i wszel-

kich interesów, w nieznacznej a żelaznej trzymającej ich od siebie zależności. Nie winą jest nauczyciela że młody książę Godfryd nie podniósł się umysłem wyżej nad idyotyzm; przeciwnie, ojciec Korski radby był uczynić go gieniuszem, a geniusz ten skierować ku większemu pożytkowi zasad, jakie sam wyznawał; lecz natura snadź dziedzicznie w umysłach pokoleń wyjąławiana, zatrzymawszy się na księciu Godfrydzie, już była tak nędzną umysłowo, że stała nieprzełamany opór usiłowaniom mistrza. Nie bardziej przerażającego, jak życie książęcego dworu, według zegaru nicości regulujące porę posiłku, snu i spowiedzi, w karby trupiej etykiety ujęte.

Nie wiedzieć w co by się niebawem obrócił dwór książęcy, gdyby nie sąsiedzka ambicya pani podkomorzyny, która mając córkę, zapragnęła dla niej miłoty książęcy.... Oto punkt główny, z którego wychodzi myśl autora, oraz cały dyalektyczny rozwój powieściowych wypadków.

Rodzinę podkomorstwa, zamożną i imponującą w okolicy, składają: ojciec i matka, oraz syn i córka. Nim przyjdzie do tego, ażeby córka tej rodziny, młoda, piękna, pełna życia, rzuconą została na pastwę obmierzłemu duszą i ciałem idyocie, i do tego za tę ofiarę istoty swojej, a w zamian za tytuł książęcy, posagiem swym zapłaciła, — autor przedstawia nam cały szereg pośrednich motywów, niby rozwój od ziarna aż do tak ohydneho owocu. Motywami temi są oczywiście: przesąd, wychowanie dziedziczne na nędznym fałszu oparte, próżność osobista; a rolę tak przygotowaną użycia nikiemna słabość względem żony, męża, pragnącego okupić sobie spokój domowy, bodajby nieszczęściem i piekłem moralnem dzieci.

W czem autor upatruje przyczynę skrzywionej budowy rodzinnej, za którą idzie krzywizna i wątpliwość całego gmachu społecznego? Oto przede wszystkim w tym zbrodniczym przesądzie, dzielącym społeczność całą na *urodzonych* i *pracowitych*, pomiędzy którymi rozstęp wieki uczyniły nieprzebyty. W systemacie takim zasługa osobista jest rzeczą zgoła podrzędną, jakimś dodatkiem pstrzyczki, pomiędzy rodem jest wszystkim; tak, iż lada urodzony książę Gamajda nieskończenie i rodzajowo wyższe ma znaczenie, niż pracowici bodajby Sniadecki lub Mickiewicz. W systemacie takim, wychowanie, czyli tak zwana edukacya, unika wszystkiego tego, w czemby się mogli spotkać urodzeni z pracowitymi. Pierwsi nie przeznaczeni do pracy, nie potrzebują nabywać tej wiedzy, która zapewnia osobistą samodzielność od najskromniejszego do najwznioślejszego zawodu, i postęp wytwarza, podtrzymując lub wzmacniając filary gmachu społecznego; od tego są pracowici: tamci pierwsi obowiązyani są posiadać te tylko przymioty, które konwencyonalnie służą do dobrego zaprezentowania się w świecie równych i do przyjemniejszego spędzenia próżniaczego życia. Jeżeli dopiero przy powiększeniu rodziny, przy cięższych warunkach życia, a rozdrobieniu fortuny, majątek nie starczy wymaganiom świetnego próżniactwa, wtedy... Obejrzyjmy się po wielkich rodach, gdzie one są, albo jak szczyt ich wyglądają u nas, a dokonamy sobie zdania. Inną nieco dają na to odpowiedź rody angielskie, gdzie od wieków *urodzeni* byli i są zarazem *pracowitymi*. Ale są to już skutki, nie odbiegamy od przyczyn.

W takich to pojęciach wychowana podkomorzyna, niedziw, że kieruje się niemi całe życie; ona nie odpowiada za nie, tak samo jak nie będą odpowiadać dzieci, które ona w podobny sposób wychowywała. Przyczyna jest koniecznością żelazną, ona musi wywołać skutek sobie właściwy, a nie od następstwa nie uchroni, chyba nowa przyczyna wprost tamtej przeciwna. Jednym z warunków wchodzących w system życia urodzonych jest i to, ażeby ród swój wyższą koligacją ugodniać: bez względu więc na osobistą wartość księcia Godfryda, podkomorzanka Ludwika musi zostać jego żoną, a za tytuł księżnej zapłacić grubym posagiem, do którego mąż zero tylko dodaje; i to nazywa się ofiarą na rzecz świata i rodziny, jedną z *ofiar*, które to powieść określa i przedstawia. Szczytność tej ofiary niedosyć snadź oceniał dyrektor spraw wewnętrznych i zewnętrznych książęcej rodziny, książę Korski, bo długo targował się o to z podkomorzym, ażeby posagu Ludwika nie zahypotekowywać na majątku książęcym, ale dać go wprost ciepłą ręką;

ale tu podkomorzy był nieugiętym, a że miał rewers księcia na dosyć znaczną sumę, więc groźba procesu o zwrot należności, zmięczyła upór dyrektora.

Ofiarność podkomorzyny rozbijającej się za zbudowaniem szczęścia dla swych dzieci, według teorii własnej, nie ograniczyła się na osadzeniu samej tylko Ludwika; ona to również pokierowała losami syna swego, Karola. W tym celu, po ukończeniu edukacji domowej, wysłała go ona z guwernerem Francuzem do Paryża, ażeby młody dziedzic w stolicy gustu nabrawszy świetnego poloru imponującego w gronie urodzonych, mógł łatwiej sięgnąć po rękę dźwigającą przynajmniej jakich kilka milionów, wyprowadzonych z dobrze urodzonej szkatuły. Karol nie zawiódł oczekiwań matki, wrócił po kilkoletnim pobycie z Paryża doskonałym gentlemanem, i zgadzał się nawet z nią, co do propozycji matrymonialnych; różnili się tylko co do daty. Syn do małżeństwa uważał się jeszcze niedosyć użytym, postanowił więc czas jakiś pobawić się w donżuanizm z okolicznymi *gaskami* szlacheckimi i dopiero nasycony i przesycony, poślubić dozoną wierność małżeńską milionom — którą to racyę matka za zupełnie usprawiedliwioną, z uśmiechem czulej pogróżki uznała.

Mając już w łonie swem takiego wielkoświatowego a skończonego instruktora, rodzina żyje według jego wskazówek, on to towarzyszy młodej księżnej parze w wycieczkach za granicę, do Paryża, tam i sobie i im urządza pobyt odpowiedni do tytułu, zabawia ich w ten sposób lata całe i młodzi księżtwo (raczej księżna, bo książę był tylko baranem wiedzionym na pasku) powracają do domu dopiero po śmierci starego księcia, wówczas, kiedy ruina majątkowa zdążyła za nimi ruchem przyspieszonym.

Ruina?... A jakimże to sposobem; cóż przez ten czas czynił podkomorzy, ojciec, w którego rękę spoczywał zarząd całego majątku?... Podkomorzy, wciąż dla utrzymania domowego spokoju, spełniał wolę i rozkazy małżonki, dopóki i sam z kłopotów i zgryzot nie umarł, dzieciom pozostawiając okruciny wielkiej fortuny, starczące za ledwie na spłatę wierzycieli.

Jeżeli w lepszych czasach, w charakterach tych trojga osób: podkomorzyny, Ludwika i Karola, wykazywała się przeważnie lekkomyślność, teraz, przy stracie majątku, w interesach ciężkich, wyłaził dopiero plugawem robactwem cała zgnióść moralnego ich organizmu. Podkomorzyna, której summa posagowa pozostała w całości, ani chce słyszeć o użyciu jej części na korzyść dzieci. Podkomorzyc bluźni pamięci ojca, który interesa zostawił tak zagmatwane, i daremnie poszukuje jakiej, choćby zbrakowanej a bogatej dziedziczki, by jej posagiem interesa swe poprawić. Księżna przesiaduje w swoim pałacu razem z idyotycznym mężem, w zupełnej apatii, nie wykroczywszy wprawdzie niczem przeciw uczciwości kobiecej, ale przyjdzie kolej i na nią.

W interesa tej rodziny wpłata się pewna postać, lubo od samego początku powieści naznaczona, ale teraz dopiero przychodząca do znaczenia. Podkomorzy przyrzekł czynszowemu szlachcicowi w swoim dziedzicznym majątku, niejakiemu Mędzińskiemu, zaopiekować się jego jedynym synem. Jakoż opiekę tę urzeczywistnił, rzucając chłopca między domowe lokajstwo i odziewając go w liberyę; jest to rys znamienity, za którego zaobserwowanie wdzięczność winniśmy autorowi. Ojca, na tę wiadomość, że zgrozy wprawdzie tknęła apopleksya, ale mały Kacperek zrobił karierę. Wystudował on powoli we dworze całą służbę lokajską, nauczył się czytać i pisać, i od chłopca do czyszczenia butów, dochodząc do coraz wyższych zaszczytów, już nawet dopuszczonym był do stawiania za karetą, kiedy pokochał Kaśkę, dziewczynę z praczkarni, i zyskał wzajemną jej miłość. Gdy pani podkomorzyna po śmierci męża, unikając kłopotów wiejskich i chcąc niezależnie użyć własnego funduszu, osiedliła się w Odessie, zabrała z sobą i Kacpra, za którym z miłości pobiegła Kaśka. Złe oboje się pani z dziewczyną zbiegła bez pozwolenia, skłoniło Kacpra do opuszczenia służby. Wprawdzie podkomorzyna, dla samego przykładu, chcąc ukarać taką samowolę, czyniła wszelkie wysiłenia i łożyła wielkie koszty, ażeby Kacpra choć na dziesięć lat zamknąć w are-

per miał prawo za sobą. Ożenił się on w Odessie z Kaśką, został ojcem córeczki, ciężko pracował na oboje, kiedy uśmiech fortuny przyniósł mu ze sfer loteryjnych trzykroć sto tysięcy rubli.

Kacper nie oszalał, jak drudzy jemu podobni. Postanowił on dobrze spożytkować ten podarunek losu i korzystając z rady rozważnego człowieka, kupił z pomocą pożyczki bankowej wystawione na sprzedaż oba majątki, tak podkomorstwo, jako i księstwo. Rozumie się, że podkomorzyna wraz z synem uważali to za kradzież z jego strony; z podobną nawet wymówką przybył do niego wyniosły Karol, żądając odeń indemnizacji. Lecz Kacper trzymał się bardzo odpornie, a Karol w miarę tego spuszczaając z tonu i sumy, poprzestał na jałmużnie pięciuset rubli i z wszelkich pretensyi skwitował. Mimo to Kacper pozostawił księcia i księżnę w pałacu, wprost na swym łaskawym chlebie, a uczynił to z przyzwyczajoną ogłędnością i taktem.

Nagła śmierć księcia przy zawaleniu się zamku, skłoniła Kacpra do przeniesienia księżnej wdowy wraz z wierną pokojówką, do własnego domu w byłym majątku podkomorstwa, gdzie sam zamieszkał. Ludwika prowadziła żywot całkiem odosobniony, z wdzięcznością przyjmowała przysługi obojga małżonków, pieściła się z ich dzieckiem, a jednocześnie w najśmieszniejszych barwach opisywała ich w listach do matki, ubolewając nad swą dolą, która ją oddaje na łaskę dawnego lokaja i błagając, by ją do siebie zabrała. Lecz matka w odmawianiu tej dogodności była niewzruszoną, radziła tylko córce, ażeby mężnem sercem znosiła *ofiarę* do końca. Koniec ten niebawem miał nastąpić i Ludwika powołaną została do ofiary tak świetnej, jaka rzadko przytrafia się pospolitym śmiertelnikom. Umarła prawie nagle pani Kacprowa; a kiedy mąż długi czas po niej w żalu utulić się nie mógł, wezwała go naraz do swego pokoju księżna i dając poznać jak wielką czyni dlań z siebie ofiarę, ofiarowała mu siebie za żonę, głównie iżby być opiekunką córeczki osierociałej.

Determinacya ta wynikła z ostatnio otrzymanego listu Podkomorzyny, która zmarnowawszy w Odessie część swoją i nie mając już żyć z czego, nakłoniła do tej ofiary córkę, skutkiem natchnienia otrzymanego z nieba; i ażeby bardziej jeszcze uświetnić tę ofiarę, sama nawet wraz z synem zawiątała w progi ziemia, by go zapewne nie opuścić aż do śmierci, chyba przez chwilowy wyjazd zagranicę, rozumie się, na jego koszt.

Jakie życie pędził Kacper Mędziński, dobrowolnie uległszy tej skwapliwej ofierze, dostatecznie wskazuje jego wykrzyknik: „Ha!“ którym zamyka się książka.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie)

Z wielką troskliwością Niemiec sprawozdawcy, jakieśmy to już kilkakrotnie uważali, zwracają uwagę na wszystkie objawy opinii publicznej o nich i o ich polityce. Nie mogła też ująć ich oka broszura angielska Lorda Dunsany „Gallowie czy Teutony?“, którą redaktor niemieckiej „Londyńskiej gazety“ — pośpieszył przełożyć na język niemiecki (Gallier oder Teutone? Betrachtungen über zukünftige Allirten — G. v. Muyden. Berlin). — Lord Dunsany, mało znany jako publicysta, przynajmniej jakoś się nam z imieniem jego spotykać nie zdarzało; przejęty wielką czcią dla ducha i spraw współczesnych Niemiec, przyznając im wielką przyszłość, stara się przekonać Anglię, iż powinna zwrócić się ku nim z przymierzem i iść razem.

Lord Dunsany znajduje, że charakter Francuzów czyni ich niezdolnymi do odegrywania roli przewodców cywilizacji w ludzkości, (!!) i że zadanie to tylko Niemcy spełnić mogą (!!). — Na tem tle haftuje przyszłe plany przymierza i polityki europejskiej. Zdaje mu się, że Francya pragnąca odwetu jest niebezpieczną dla pokoju Europy i że wszystkie

kraje pragnące go utrzymać, winny stworzyć między sobą ligę obronną (!), wspólnymi siłami wystawić armię i osłonić Niemcy od napaści... Taka armia związkowa, czysto tylko „obronna“, złożona z połączonych wojsk Austrii, Niemiec i Włoch, do którychby i Anglia przystąpić powinna, osłaniałaby drogocenną fabrykę cywilizacji, złożoną przez germanów i produkować mającą kulturę w najlepszym gatunku, a jak najtaniej! *Qu'on se le dise!*

Angielski lord pisał to zapewne niezupełnie zdrow i przytomny na umyśle i wstępny, żeby z praktyczną polityką państw europejskich był obeznanym, jeśli plan swój za możliwy uważa. Niemcy znajdują go cudownym. Wistocie skłonić Europę, aby swoim kosztem osłaniała i konserwowała utwór dzisiejszy, *envers et contre tous*, byłoby nadzwyczaj wygodnem; zahamować naturalny rozwój i zapobiedz skutkom koniecznym popełnionych omyłek i fałszywych rachub—nader by dla cesarstwa przyjemnem było.

Według Lorda Dunsany, Francuzi, ten naród który właśnie do misji swej cywilizacyjnej tak cudownie był obdarowany, obudzając sympatyje, posługując się językiem, który od wieku rozpowszechniony został po świecie—Francuzi mają ustąpić Niemcom, ze wszystkich narodowości najmniej umiającym zarobić na współczucie—i nie starającym się wcale o nie! Gdyby kultura i cywilizacja rozkrzewiały się z pomocą karabina i dział, w tej chwili nieochybnie największą do prowadzenia ich zdolność, przyznalibyśmy Germanom.

Zwróćmy się ku weselszym przedmiotom, a zwłaszcza do teatru, który w całej Europie do najczynniejszych działaczy cywilizacyjnych dziś liczyć się powinien. Do pewnego stopnia przerósł on swym wpływem (złym czy dobrym) literaturę, a ze wszystkich sztuk jest dziś najumiętniej uprawianym.

Niemieckie teatry, licząc w to i opery, żwawo się przygotowują na zbliżającą zimę. Nowe teatry w Hamburgu i Kolonii ogłaszają już programata przyszłych przedstawień. Hamburgskimi oddano pod dyktando p. Pollini, który zarazem objął prowadzenie opery włoskiej w Petersburgu i Moskwie. Oprócz opery spodziewają się w Hamburgu po raz pierwszy klasycznych tragedii i dramatów, których tu dotąd nie grywano. W Stuttgarcie p. Teodor Wehl obejmuje intendenturę, a główną reżyserją p. Jendrowski; we Wrocławiu mianowany dyrektorem Ravené. W Berlinie zamówiono kilku artystów z prowincyi. Zapowiadają na zimę nowości, a najprzód *Ultimo*, G. v. Mosera, które od lipca na scenach niemieckich było już grane przeszło sto razy, (w samym Berlinie z pięćdziesiąt). Z tragedii mało się w ogóle utrzymało zdoła na repertuarze w Niemczech, jest to bardzo znaczącem—poważniejsza sztuka niewiele ma widocznie zwolenników. Ze trzech premiowanych z funduszu Schillerowskiego tragedii, „Nibelungi“ Hebbel'a czasami się ukazują tylko na większych teatrach, Lindnera „Brutus i Collatinus“ znikł bez wieści, a Geibel'a „Sofonizba“ ledwie się niekiedy widzieć daje.

Innych tragedii, moc niezmierną, ciągle wychodzących nie próbują nawet na teatrach. Z dawniejszych częściej się na afiszach spotyka „Uriel Acosta“ Gutzkowskiego, Laubego Essex, Brachvogla Narcyz, Mosenthala Deborah i Katarzyna Howard Gottschalla. Najczęściej grywane są dramata i komedye pani Birch, Benedyxa, Wichert'a, Moser'a, Puttlitza, Rosen'a, Wilbrandta i p. Lindau (Marya i Magdalena). Ostatnim wspominaliśmy niejednokrotnie. Przekład posażnej jedynaczki Fredry syna, często się także na scenach niemieckich widzieć daje, a trochę karykaturalne postacie nasze, przypadają do smaku niemieckiej publiczności, która woli śmiać się z obcych niż z siebie, do czego całe towarzystwo Szumbalińwicz, doskonałą podaje zręczność.

Miedzy nawiasami wspomniemy, że grana w Théâtre français, Ernesta Legouvé sztuka „Un jeune homme qui ne fait rien“, w której niemiecka obrona przeciw Napoleonowi I jest w pięknie świetle wystawiona, na pochwały w Niemczech i na wdzięczność sobie zasłużyła.

W Medyolanie, wkrótce otwartym być ma *Teatro Castelli*, na Via di Palermo. Właścicielem jego jest niejaki p. Castelli, a architektem tej wspaniałej budowy, młody Canedi. Wnętrze przepyszne przypomina urządzenie starożytne amfiteatru. O rozmiarach da pojęcie ten szczegół, że cztery tysiące osób wygodnie się tu pomieścić będzie mogło. — Opery,

balety i igrzyska cyrkowe, do których scena jest zastosowana, dawane będą na przemian. Na programie pierwszych przedstawień są opery: *Ruy Blas* Marchettego, *Marco Visconti* Petrelli i *Mignon* Ambr. Thomasa. — W Paryżu, otwarty zostanie trzeci teatr liryczny, tymczasowo w dawnej sali Ventadour, d. 1 stycznia 1875 r. Rząd obowiązał się dopłacać mu 100,000 franków. Połączoną z nim być ma liryczno-dramatyczno-choreograficzna akademja. Uczniowie przyjmowani do niej, pod pewnymi warunkami uzdolnienia i przysposobienia, obowiązani będą kontraktami do służenia dyrekcji w taki sposób, w jaki ona niemi rozporządzeni—(mogą być używani na „statystów“ i chórzystów). Offenbach ogłosił dwa konkursy do napisania libretta komicznej opery i komedii lub dramatu wierszem, każdy po tysiąc franków. Lecoq, autor „*Mamzel Angot*“ pracuje nad nową operą, do teatru Variétés, pod tytułem: *Près Saint Gervais*, do której tekst dał Sardou. Leon Duprat, inny kompozytor, dokończył muzykę do opery „*Le Capitaine Pamphile*“. Słowem wszędzie ruch w teatrach ogromny.

Ulubiony Niemcom Julius Rosen, zaczyna jakoś schodzić z pola, trzy-aktowa jego farsa wiedeńska: „*Najpiękniejszy z nosów*“ upadła na teatrze Strampfer. Jest to jedna pono z najsłabszych tego autora.

Laube, słynny dyrektor teatrów w Wiedniu i Lipsku, opuścił scenę „Stadtteatru“ w Wiedniu, powołanym być ma, jak mówią do Frankfurtu, ale i tam zapewne długo nie potrwa. Przy niezaprzeczonej talencie i zręczności do prowadzenia własnych interesów szczególnie, Laube jako człowiek nie stoi podobno na wysokości artysty i pisarza.

Jako poeta i literat, chciał on w swoim teatrze kształcić publiczność wiedeńską i wtajemniczać ją w sztukę poważną—to mu się nie powiodło. — Wiedeński świat przedewszystkiem bawić się lubi, a gdy się chce uczyć i kształcić, idzie do Burgu. Konkurencja z nim była trudną, a raczej niemożliwą. — Laube musiał ustąpić. — Do mnogich kongresów tegorocznych, o których tyle pisano i mówiono, miał przybyć jeszcze jeden, zwołany na dzień 24 września do Wejmaru: idea wyszła podobno z Berlina.

Pomiarkowano się w czas, iż kongres poetów—mógł być poprostu śmiesznym, a był całkowicie nieużytecznym. Ponieważ programu nie ogłoszono, wiedeńska „*Presse*“ skomponowała mu program sztyderski, inne pisma pochwyliły także stronę komieczną i o nią rozbił się zjazd.

Miedzy innemi w programie „*Presse*“ stało zadanie następujące:

„Kongres uchwalić raczy—dla zachowania świętej zgody i dobrych stosunków pomiędzy bracią w Apolinie niemieckim, aby zgromadzeni poeci zobowiązali się na przyszłość nigdy plodów Muzy swych współtowarzyszów nie podciągać pod krytykę, a jeśli ich do tego zmuszą ciężkie życia wymagania (chleb—z masłem?), aby się przynajmniej nie podpisywali nazwiskiem własnem jako recenzenci“.

Było to przypomnienie złotej maksymy starożytnej, aby kruk krukowi oczu nie wykłubał. Szło za tem, że miał się chyba wyrobić osobny stan—recenzentów, którymby znowu zakazaniem było, eokolwiekby produkować oprócz krytyk i recenzji! — Szczęściem opatrzone się w porę, że kongres poetów najprzyjemniejszym by był dla Kladderadatscha i „*Wesp*“ berlińskich. I tak nie doszły zjazd pogrzebiono. Gdyby wszyscy drukujący poezje w Niemczech, zabrali się do Wejmaru, mała miłośnica by ich pomieścić nie mogła i koczować by chyba musieli na błoniach otaczających ową stolicę wspomnień Schillera i Goethego.

W tych dniach ukazał się zeszyt pierwszy, przeglądu niemieckiego „*Die deutsche Rundschau*“ rozpoczętego z błogą nadzieją, że on kiedyś *Revue des deux Mondes* zastąpi. Redaktorem jego jest znany literat Julius Rodenberg, który dla nowego tego przedsięwzięcia literackiego, dawniej przez siebie założony „*Salon*“—porzucił. Pierwszy zeszyt przeglądu, któryśmy tylko bardzo pobieżnie mogli rozpatrzeć, zawiera między innemi artykuł Siebla o pierwszym podziale Polski. Treść jest urozmaicona, zapowiedziane powieści, plan mniej więcej podobny do Przeglądu dwóch światów. Wielkie nadzieje budują tu na tym przeglądzie, który ma wszystkie znakomitsze imiona pisarzy współczesnych w spisie

swych współpracowników... Przyszłość okaże jak się rozwine.

SPRAWOZDANIE Z WYSTAWY ROLNICZEJ

(odbytej w Warszawie we wrześniu 1874 r.).

(Dokończenie).

Z rzeczy krajowych zwracały powszechną uwagę piękne *Wyroby fabryki Bohle* różnych aparatów dla cukrowni i liczna kolekcja *kas ogniowatych*. Piękny także dobór *kass* podobnych przedstawił p. Żeleziński. Fabryka dawniej Cukierwarów wystawiła różne aparaty dla cukrowni. *Wyroby ślusarskie* zjednoczonych ślusarzy, fabryki przy ulicy Ciepłej, fabryki Woroncowa-Weljaminowa i innych, odznaczały się pięknem wykończeniem i umiarkowanymi cenami. Wszyscy przyznają, że warszawskie wyroby ślusarskie mogą iść o lepsze z wyrobami zagranicznymi. Stosuje się to tak do *wag decymalnych*, jak do *łózek, kołysek, zamków* i t. p.

Gięte meble hrabiego Poletyły, pochodzące z niedawno założonej fabryki, wyrabiane z materiałów krajowych, przekonały niedowiarków, że wyroby te mogą współzawodniczyć z tak rozpowszechnionymi wyrobami wiedeńskimi.

Spółka zjednoczonych szewców przedstawiła okazy zadosyć czyniące dawno ustalonej sławie obuwia warszawskiego. Było tam *Obuwie damskie i męskie* w najrozmaitszych gatunkach i na najrozmaitsze ceny.

Pan Lubliński wystawił okazy obuwia maszynowego, bardzo pięknie wykonane.

Z kobiet wystawców p. Leopoldyna Nassius i p. Florentyna Aleksandrowicz (w pawilonie jedwabnictwa), przedstawiły gustownie wyrobione okazy damskiego obuwia.

W pawilonie tym znajdowały się okazy *Sztuczno-go cementu* i różne wyroby z niego dokonane w fabryce p. Ciechanowskiego w Grodźcu.

Pan Jaroński przedstawił *Pieczęć kaflową* własnego pomysłu. Z tych pieców szczególnie jeden, odświeżający przy paleniu zużyte powietrze, zasługuje na uznanie. Oby praktyka wykazała istotne korzyści, jakie ten piec ma przynosić, a mianowicie oszczędność, albowiem jeden garniec węgla ma wystarczać do ogrzania na 24 godziny pokoju, mającego 20 łokci w kwadrat.

Ozdoby do pieców p. Stalewskiego odznaczały się wielkim gustem.

P. P. Piki i Berent, optycy, wystawili znaczną ilość *Wyrobow fizyko-matematycznych*, odznaczających się wykończeniem. Miedzy niemi model maszyny parowej, wyrobiony przez p. Berenta, nie pozostawiał nic do życzenia. Bracia Lesser przedstawił jedno tylko, ale prześliczne *Lustro*.

Wyroby stolarskie wystawione przez różnych fabrykantów, a mianowicie futryny do drzwi i okien, oraz posadzki, odznaczały się bardzo pięknym wykonaniem, posadzki zwłaszcza zalecał gust i nader niskie ceny.

W pawilonie przemysłowców warszawskich oprócz wielu innych rzeczy, mieściły się *Powozy* różnych fabryk w Warszawie istniejących, zalecały się one tak gustem i wykończeniem, jak i trwałością.

Obok pawilonu przemysłowców p. Herkner umieścił wystawę *Krajowego kamienia litograficznego* i małą pracownię, w której na poczekaniu odbijano na chustkach do nosa widok Wystawy Rolniczej.

Jak to powiedzieliśmy wyżej, na całym obszarze placu zajętego na Wystawę, porozrzucane były oddzielne pawiloniki, urządzone kosztem pojedynczych wystawców. W *Pawilonie p. Adolfa Troetzera* mieściły się ozdoby i bardzo trwale wykonane sikawki ogniowe, różnej ceny i wielkości.

Pawilony pp. Sommera i Renila zawierały wyroby kunsztu powoźniczego, odznaczające się elegancją wykonaniem.

Właściciele Żyrardowa wystawili grube płótna, dreluchy i worki, jako mające bezpośredni związek z rolnictwem.

Gustownie zbudowany pawilon *Warszawskiego przedsiębiorstwa asfaltowego*, zawierał okazy suro-

wych i przerobionych materiałów, używanych do robót asfaltowych. Na pawilonie tym mieścił się ogródek, do którego urządzono wejście po wschodkach. Czy pod tym ogrodem można być bezpiecznym po długotrwałych deszczach, zapewnić nas dopiero będzie mógł nabywca tego pawilonu, który jak donosiło jedno z pism, ma zamiar z nabytku swojego zrobić altanę ogrodową.

Jaką rolę odgrywał w tym pawilonie model lokomotywy? — nie wiemy, słyszeliśmy tylko, jak jedna z dam pokazywała go drugiej, objaśniając, że to jest ręczna machina parowa.

Na szczególną uwagę zasługiwał postawiony obok tego pawilonu *kawał muru*, którego podstawa umieszczona była w wodzie. Mur ten w połowie wysokości przedzielony był warstwą asfaltu. Dolna część muru przeniknięta była wilgocią, górna zaś nad warstwą asfaltu zupełnie sucha. Warto, aby p. budowniczowie i właściciele mających się stać domów, zwrócili uwagę na to zbawienne działanie asfaltu. Kładąc bowiem warstwę smoły kopalnej na fundamentach, można małym nakładem zabezpieczyć cały dom od wilgoci, każdy zaś lokator chętnie zgodzi się na zapłacenie większego nieco komornego — jeśliby terazniejsze nie wystarczało, w domu zupełnie zabezpieczonym od wilgoci. *Pawilon p. Cezarego Skórny*, mieścił przepyszne okazy *kamienni młynskich* wyrobionych z piaskowca szydlowieckiego i z paryżkiego krzemienia.

Pawilon p. *Hugona Neumann* zawierał różne wyroby z tkanin drucianych. Pomiedzy innymi można tam było widzieć materace wyrobione z drutu.

Pan *Julian Reichel* wystawił tak słusznie cenione wyroby bielizny i innych rzeczy, które zresztą znamy oddawna w jego magazynie. — Pomiedzy innymi pawilonami wyróżniał się gustownym wykończeniem *Pawilon fabryki p. Karola Mintera*. Nietylko przedmioty znajdujące się w tym pawilonie, ale sam pawilon wyrobiony został w fabryce zaszczytnie znanej oddawna w całym kraju. Widzieliśmy tam doskonale *Odlewy krucyfiksów*, figur świętych, lichtarzy, dalej łóżka, łóżeczka i kolebki żelazne, pokojową gimnastykę z tablicami objaśniającymi na rysunkach użycie tego wychowawczego środka, mebelki składane i po bardzo przystępnych cenach, dla dorosłych i dla dzieci. Było tam także wiele sprzętów gospodarskich bardzo praktycznie pomyślanych i dokładnie wykonanych. Pomiedzy innymi szczególną uwagę zwracały: *wanna metalowa z kociołkiem do grzania kąpieli*. Kociołek ten połączony z wanną, zbytecznem czyni ogrzewanie wody na kominie i nalewanie gorącej wody do wanny. Kociołek ogrzany za pomocą małego piecyka, w którym jest osadzony, łączy się z wanną dwiema rurami, przyczem woda ogrzewając się w kociołku, przepływa przez wannę, stopniowo podwyższając temperaturę. Wart był także widzenia przyrząd zabezpieczający od dymienia kominów. W przyrządzie tym umieszczonym na wylocie kominu, dym wychodzi przez skośne otwory wielkiej ruchomej bani żelaznej. Przyrząd ten wydaje się bardzo praktycznie obmyślonym.

Były tam także *Kuchenki naftowe* o kilku ogniskach, *Szwedzka kuchnia* to jest naczynie metalowe szczelnie umieszczone w pudełku wysłanem filcem; *Pralnie mechaniczne*, *Kierznia do robienia masła* ze słodkiego mleka. Jaka szkoda, że o praktyczności tych przyrządów nie można sądzić z samej tylko ich budowy.

Co krok można było się spotkać na wystawie z czemś ciekawem. Tu zwracały uwagę *Cegły* wyrobione w zakładach p. Witkowskiego, tam cegły ogniotrwałe z fabryk hr. Potockiego i p. Sunderlanda. Oto znów spotykamy się z kilku kolekcjami *Maszyn do szycia*; ale cóż o nich mówić w obec niepewności, w jakiej zostawiła nas długo tocząca się polemika i niedoszłe sądy. Dalej *Mur z betonem*, pomysł p. Jarockiego; ten mur ma nam ułatwić budowanie tak pożądaných tanich mieszkań. W in-

nem miejscu wystawca przedstawia *Nowy sposób łączenia blach na dachu* z zapewnieniem nieprzemakalności. Tu znówu spotykamy pyszne *Labratory* mieniające się w barwy tęcze. Nowa spółka imponuje nam bryłami *Węgla kamiennego* wydobytego z nowych kopalń. Warsztaty bednarskie ukazują oczom naszym olbrzymie *Beczki* gotowe przyjąć w swe wnętrza tysiące garncy piwa.

Wybaczenie, że wiele, bardzo wiele pominąć musieliśmy, trzeba było poświęcić całe dziesięć dni na studyowanie wystawy, być zarazem rolnikiem, leśnikiem, inżynierem, technikiem, rzemieślnikiem posiadającym kilka rzemiosł, gospodinią praktyczną, ogrodnikiem i kilka jeszcze innych posiadać specjalności, aby dać dokładny obraz wszystkiego, co nam przedstawili wystawcy.

Komukolwiek jednak i z jakiegokolwiek powodu przychodzi mówić o Wystawie rolniczej odbytej w Warszawie w drugiej połowie Września r. b., ten pod karą grzechu przeciwko głosowi powszechnemu, a co ważniejsza przeciwko prawdzie, i własnemu przekonaniu powtórzyć musi ze statystycznym przeszło tłumem uczestników widzów i sędziów tej uroczystości: „Wystawa się udała.“

Tak jest, wystawa nietylko udała się, ale przeszła wszelkie oczekiwania i nie trzeba być optymistą, by dodać, że fakt, którego byliśmy świadkami, nietylko nader jest pociesającym ale i płodnym w następstwa być nie omieszcza.

Wystawa rolnicza była uroczystością ekonomiczną i społeczną zarazem. Pozostawiając pismom specjalnym bliższy i szczegółowszy rozbiór owego podwójnego jej charakteru, powiemy tylko, że w ciągu ubiegłych lat dziesięciu nie było faktu, któryby pod względem znaczenia i doniosłości mógł z nią waleczyć o lepsze. Myliłby się kto by z Wystawy chciał wnioskować o zasobie bogactwa krajowego, kto by chciał wyprowadzać przeciętną stanu kultury materialnej i umysłowej danego terytorium lub społeczeństwa. Na postawione w ten sposób pytanie, żadna nie odpowie wystawa. Ale wystawa przynosi świadectwo dążeń, usiłowań i kierunków, jakie dane społeczeństwo w pracy sobie wytknęło. Wystawa orzeka stanowczo o postępie lub cofaniu się wstecz. Wystawa jest wyrazem życia, miarą jego nateżenia i charakteru. Z tych to względów ostatnia wystawa szczególną posiada wagę i odróżnia się od innych, które ją poprzedziły. Przyniosła ona wymowne świadectwo: że siły krajowe pod względem pracy nie osłabły lecz przeciwnie spotęgowały się znacznie; że praca skierowaną została na właściwe tory; że nie marnieje i nie rozprasza się, ale skupia w usiłowaniach zarówno chwalebnych jak i wielce pożytecznych; że postępy nauki gospodarstwa rolnego i w ogóle nauk zajmujących się badaniem praw towarzyszących działaniom sił przyrodzonych oraz ich spożytkowywaniem i zastosowaniem, nie są nam obce; że również obcemi nie są i zaczynają coraz więcej w życie przesiąkać zdrowe zasady ekonomiki; że wreszcie stać nas na usiłowanie współzawodniczenia z temi, którzy pracą i oszczędnością pokonali już trudności, z jakimi nam, być może, długo jeszcze waleczyć przyjdzie, ale że pierwsze w tym kierunku kroki już postawione, że usunięto główne zapory tamujące postęp na drodze, po której słabsi za mocniejszymi, opieszali za pracowitszymi prędzej niż dotąd podążać będą mogli.

Ostatnia Wystawa to meta do jakiej już doszliśmy i od której dalszy ekonomiczny i społeczny postęp zaznaczać będziemy.

NA WSCHODZIE, USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbatą.

(Dalszy ciąg).

Falszowanie herbaty i oszukiwanie kupujących przez sprzedaży w sposób jeszcze bardziej bezczelny bo polegający na zbywaniu pod imieniem „herbaty“, liści innych zupełnie roślin przy nadaniu im tylko jakiego takiego pozoru rzeczywistej herbaty — nie przychodzi Chińczykom z taką łatwością, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. W samych Chinach dla nabywców Anglików wcale prawie nieznaną się na dobroci różnych gatunków herbaty, żądających jedynie silnego a nie pachnącego napoju, przymieszka z innych liści lub z ziół i traw narkotycznych, gra nie prawie nieznaczającą rolę, pomimo to że Chińczycy dążą do zastępowania liści herbaty, liśćmi różnych zupełnie roślin i traw, np. Rhamnus, albo Fallopia. Rośliny te poprzednio dobrze wysuszone, używane bywały w miejsce herbaty przez najuboższych mieszkańców Państwa Niebieskiego. Spytajmy się więc, gdzie była podpora poprzedniego handlu i czem uzupełniano niedostateczną ilość herbaty wpraw wywożonej przez Kiachtę, a także jak sobie radzić będą obecnie kupcy w obec skuteczniana głównego handlu morzem? Odpowiedź dawno już istnieje dzięki dokonany obserwacyom i na różne sposoby poczynionym obrachowaniom. Brakującą ilość herbaty dostarcza kontrabanda.

Kontrabanda oddawna już psuła interesa i była najgorszym wrogiem Kiachty, dostawiając przynajmniej tyle tysięcy skrzynek herbaty co i handel regularny. Zbogacona ciągle powodzeniem i posiadając organizację punktualnie funkcjonującą na zachodnich granicach Rosyi i teraz zastosowała się do okoliczności i działa ze wszystkich stron. Za Bajkałem, po brzegach Arganu ⁽¹⁾. Mongołowie przemycają do krajów rosyjskich znaczne partie cegiełkowej herbaty wielce rozpowszechnionej w Syberyi i zamieniają ją na złoto. Mieszczanie z Kiachty od niepamiętnych czasów hodują u siebie dzielne i bystre do lotu konie, doskonale wyćwiczone do przebiegania górskich dróg i ścieżek i na nich dawno już przemycają przez Hamar, Damaz całe cybiki herbaty po największej części najdroższej kwiatowej. — W prowincyi Sempalałyńskiej najczęściej zaś około Bijska mieszkańcy zachodniej Syberyi kilka razy do roku urządzają wyprawy na zręcznie przemycających się przez Czuję z pomocą dzielnych stepowych koni kontrabandzistów, głównie Kirgizów.

Piszący te słowa miał sposobność pić w jednej wsi leżącej w Zakaukaskim kraju herbatę silnie odróżniającą się od zwykłej różnemi zapachami i przywiezioną do Rosyi, jak zapewniali mieszkańcy od strony Persyi — przez granicę lenkorańską, wybrzeżem morza Kaspijskiego. W mieście Kem nad Morzem Białem, autor tego artykułu kupował funt siwej herbaty (bez zapachu) za jednego rubla, a w jednej z podmiejskich restauracyi Petersburgskich podawano mu herbatę dającą w szklance osad w formie pływającego masła, w czajniku zaś pozostawiającą ślad farby, którą Chińczycy mają zwyczaj farbować gatunek herbaty zwany Gizon, ulubiony przez Anglików w Hong-Kong, z powodu, że daje wywar silny i gęsty.

(Dokończenie nastąpi).

⁽¹⁾ Wpada z prawej strony do Szylki, której przedłużeniem ku morzu jest Amur. (P. R.).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Pogawędka. — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd piśmienniczy**, (dalszy ciąg), przez Kazimierza Kaszewskiego. — **Listy z zagranicy**, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — **Sprawozdanie z wystawy rolniczej**, (dokończenie). — **Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.